

Zenon Łoś

Białystok.

## ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Zenon Łoś. Pochodzę z Zacisza. Moim ojcem był Aleksander Łoś, Ur. w 1899 roku. W czasie naszej wywózki był akurat nieobecny. Moja mamusia miała na imię Bronisława. Z rodzeństwa miałem dwie siostry: Eugenię /1928/ i Irenę /1937/. Ja urodziłem się 15 kwietnia 1932 roku.

Losy moich rodziców były takie, jak je opisano w którymś numerze pisma "Sybirak". Ojciec - po ukończeniu szkoły rolniczej - trafił niejako na parcelację majątku. Rozparcelowano majątek "Zacisze", który był wcześniej własnością pana Kawelina /prawdopodobnie/. Uczniowie tej szkoły /rolniczej/ wykupili sobie gospodarstwa, każde z nich liczyło po osiem hektarów.

Ojciec pochodził z Dobrzyniewa Dużego, a mamusia z Podleńca. Na skutek parcelacji w Zaciszu początkowo mieszkało trzech braci Łoś: Aleksander, Dominik i Anastazy. Nie znam późniejszego przebiegu zdarzeń ani mechanizmów zmian: jeden z braci powrócił do Dobrzyniewa. Do wojny w Zaciszu mieszkali bracia Aleksander i Dominik. Anastazy natomiast mieszkał w Dobrzyniewie Dużym. Już nie żyje.

Wywieziono nas 10-go lutego 1940-go roku w nocy. Tyle co pamiętam - miałem wówczas prawie osiem lat/- to wszystko działo się jakoś tak nagle. Tatusia - jak już wspomniałem - w tym czasie w domu nie było: przebywał u babci w Podleńcach. W domu była mamusia i nas troje, dzieci. Wywózki nikt się nie spodziewał, to wszystko działo się w nocy. Wywózka dotyczyła tylko Zacisza. Sąsiednie wioski były - jak to się na tamtym

terenie mówiło - miejscowe. Zacisze, jego mieszkańcy, to byli jakby przyjezdni, osadnicy, uważani za enklawę. Zresztą wielu z "zaciszaków" było ochotnikami w czasie wojny polsko - bolszewickiej, co nie było bez znaczenia. Tak szczerze mówiąc, do tej wywózki przyczynili się Białorusini.

Gdy mówię "miejscowi", to mam na myśli nie tylko Białorusinów, ale wszystkich tamtejszych ludzi, którzy tam mieszkali "z dziada pradziada". Natomiast Zacisze - oprócz jednej rodziny Szałkowskich - pan Szałkowski był wcześniej leśniczym u pana Kawelina - pozostałe 15 rodzin były przyjezdne. Pochodzili głównie z Dobrzyniewa, Nowoaleksandrowa i z innych rejonów Białostoczczyzny. Te 15 rodzin były osadnikami, nie pochodzili z tych stron.

Z domu zabrano nas nocą i zawieziono - jeśli dobrze sobie przypominam - do stacji Żednia. Dano nam bardzo krótki czas na spakowanie / chyba 20 min/. Jak pamiętam, mróz był straszliwy. Do stacji kolejowej wieziono nas chłopskimi saniami, które częściowo podstawili ci, którzy donieśli na nas do radzieckich władz. NKWD i miejscowi przyczynili się do tego, żeby akcja przebiegła sprawnie. Wcześniej były przeprowadzone przygotowania i wszystko było już "nagrane". O jednej porze pod każdy dom podjechały sanie. Sąsiad z sąsiadem nie mógł w tej sytuacji porozumieć się. Do każdego domu zastukano prawie jednocześnie - do wszystkich szesnastu zabudowań. Bo gdyby przychodzili kolejno, to dalej mieszkający zapewne by się zorientowali w tym, co się dzieje. A tu przyjechali jednocześnie do wszystkich i w dodatku w nocy tak, że nikt z nikim nie mógł się porozumieć.

Wszyscy z Zacisza spotkaliśmy się na stacji w Żedni. Do

miejsca naszego przeznaczenia na Syberii wieziono nas przez miesiąc. Jechaliśmy w bydłych wagonach, w straszliwe zimno. W wagonie nie było niczego. Dorosli mężczyźni zrobili toaletę to znaczy dziurę w podłodze, innego wyjścia nie było. Jednym słowem podróżowaliśmy w warunkach często opisywanych przy podobnych okazjach. W wagonie był okrągły, blaszany piecyk, który niby ogrzewał wagon, bo nie było czym palić. Zresztą taki piecyk był zbyt mały, aby ogrzać taki olbrzymi wagon, ale jakoś dojechaliśmy.

Z jedzeniem było różnie. Niektórzy, tam na przykład, gdzie podczas wywożenia był mąż i żona, zabrali więcej jedzenia. Niektórzy mieli ze sobą mięso, mąkę. W naszym przypadku było znacznie gorzej, bo w momencie aresztowania była tylko sama mamusia, jedna osoba dorosła. Żywiliśmy się w zasadzie tym, co sami zabraliśmy. Na większych stacjach otrzymywaliśmy gorącą wodę zwaną "kapiatok". Kiedy się ~~ni~~ woda gotowana, to można było dosypać kaszy mannej i coś gotować.

Zawieziono nas do Irkuckiej obłasti, tajszeckij rejon, poczta Kwitek, pasiołok Toporok. To było w tajdze. Teren ogrodzony podwójnym płotem z kolczastego drutu, płot był wysoki na jakieś cztery metry swoim wyglądem przypominał obóz w Oświęcimiu. Na każdym rogu była budka strażnicza, w której był strażnik. Pomiędzy drutami biegały psy. Wyjście z tego terenu było tylko w jednym miejscu, w którym były uwiązane z boku psy i stali strażnicy.

Dowiedziałem się, że w tym obozie przebywali więźniowie jeszcze z okresu pierwszej wojny światowej. Pamiętam, że w pewnym okresie, kiedy nie mieliśmy co jeść, spotkaliśmy Polaka, który nazywał się chyba Jaszniowski, który mówił, że przebywa

tam od czasu pierwszej wojny światowej. W tę okolice właśnie wówczas został wywieziony. Rosjanie przed naszym przyjazdem nie zdążyli do końca wywieźć w tajgę tych, którzy przed nami mieszkali w barakach, kiedy nas tam zawieziono i zasiedlano. Ktoś z sąsiadów poczęstował czymś, chyba kawałkiem chleba pana Jasniewskiego. Zauważył to pilnujący żołnierz. Kiedy pan Jasniewski wyszedł, żołnierz poszczuł go psem, ten upadł i strażnik odebrał mu ten kawałek chleba.

Nie pamiętam, jaki obszar zajmował nasz obóz. Wydaje mi się, że baraków było około dziesięciu. Oprócz baraków była tam jeszcze kooperatywa czyli sklep. Po wodę należało chodzić do źródelka i przynosiło się na "koromysłach" to znaczy na drążku przerzuconym przez plecy zawieszonych wiadrach.

Po jakimś czasie - dokładnie nie pamiętam, kiedy to było - przejechaliśmy do innej miejscowości, która nazywała się Złota Górka. Następnie zamieszkaliśmy w Dolnej Udacznej.

Wnętrze baraku w Toporku wyglądało następująco: przez środek baraku przebiegał korytarz. wejście było z dwóch stron. Na lewo i prawo od przejścia były kwatery przedzielone od siebie deskami, które nie sięgały sufitu tak, że gdy się leżało na górnej półce, widziało się sąsiada, który mieszkał w znacznej odległości. Drzwi nie było, a otwór zawieszano się jakimś materiałem. Na wyposażeniu były też dwa piecyki, każdy z nich stał w przeciwległym szczycie baraku.

Insektów było zatrzęsienie: pluskwy, tarakany, wszy. Ale najgorsze były pluskwy, które nie dawały w ogóle spać. Z tego powodu stawialiśmy nogi pryczy w bańki z wodą, żeby pluskwa nie mogła dojść. Ale one były nieprawdopodobnie chytre: wchodziły na sufit i z sufitu spadały. Przez całą noc gryzły

i nie można było zasnąć. Radziliśmy w ten sposób, że spaliśmy w workach, zawiązywanych przy szyi. Walka z tymi insektami wyglądała w ten sposób, że były one trute latem za pomocą siarki. Nie dawało to oczekiwanych efektów, bo po dwóch tygodniach znów wszystko było tak jak wcześniej. Dokuczały nam pluskwy, ale i wszy: wszawica była nie do opisanania.

Ze Złotej Górki przejechaliśmy do Dolnej Udacznej. Tu mieszkaliśmy razem z państwem Kasprzakami. Nie pamiętam, skąd ci państwo pochodzili.

Dolna Udaczna była miejscowością położoną nad rzeczką. Tworzyło ją jakieś 15-cie baraków usytuowanych w tajdze. Cechą tej miejscowości było to, że przez środek miejscowości przebiegała droga drewniana. Dolna Udaczna była zbudowana na bagnach, trzęsawiskach. Droga przypominała nieco koleję: poprzecznie ułożone dechy i wzdłuż również grube deski, przypominające szyny kolejowe. Deski były mocno przybite do poprzecznych belek tak, aby jadący wóz nie "wykoleił" się. Droga posiadała również rozjazdy /skrzyżowania / takie jak na kolei.

Do szkoły chodziłem z Dolnej Udacznej do Górnej Udacznej. Odległość wynosiła jakieś trzy kilometry z tym, że przez cały czas droga wznosiła się do góry; miałem więc do szkoły pod górę.

W szkole warunki były ciężkie. W czasie mrozów ręce nam grabiły do tego stopnia, że nie było można pisać. Dyscyplina w szkole była wielka. Kiedy komuś spadł ołówek na podłogę, nie można było schylić się po niego bez pozwolenia nauczycielki. Tam nas nie rozpieszczano. Uczono na dwie zmiany. Kiedy wracałem ze szkoły z drugiej zmiany, było już ciemno, ale

szło się w dół. wracaliśmy zresztą grupami. Obok drogi, którą przechodziliśmy, była stara droga. Na starej drodze był most i kamienie, wśród których było łęgowisko żmij i tamędy nie wolno było chodzić. Była to szkoła rosyjska.

Następnie przejechaliśmy do Krasnojarskiego Kraju, Kański rejon, sowchoz Krasnyj Majak, ferma nr 5. Tam zmarła mamusia 10-go lutego 1942-go roku. Z tego powodu mieszkaliśmy przez jakiś czas u ciotki, Eugenii Szczepańskiej. Sama ciotka miała czworo własnych dzieci. Szyła watówki Rosjanom, było jej bardzo trudno, gdy doszliśmy my jeszcze we troje. Nie było sposobu, aby nas utrzymać. W związku z tym wujek poszedł do wojska - Pierwszej Dywizji im. T. Kościuszki. Poszedł do wojska jako ochotnik. Walczył na całym szlaku bojowym Dywizji. Był w jej szeregach od Sielc do Berlina. Nazywał się Zygmunt Szczepański. Na froncie był ranny, a do domu wrócił w stopniu porucznika.

wujek, będąc w wojsku, poczynił starania o przyjęcie nas albo do "dietdomu" /sierocińca/, do ochronki. Napisał w tej sprawie podanie za pośrednictwem Związku Patriotów Polskich w Moskwie. Po jakimś czasie nadeszło zawiadomienie, że mogą nas przyjąć do rosyjskiego sierocińca, a następnie przewieźć do polskiej ochronki.

Przez jakiś czas /nie pamiętam - jaki/ byliśmy w rosyjskim "dzietdomie", a następnie przewieziono nas do ochronki. Ochronka mieściła się w Krasnojarskim Kraju, Abakańskim rejonie, poczta Minusińsk, Mała Minusa i nazywała się Ochronka Polska. Mieściła się w budynku szkolnym usytuowanym między dwiema osadami. Ochronka zajmowała parter budynku. Na piętrze, z oddzielnym wejściem mieściła się szkoła. W ochronce prze-

bywało około 140 dzieci. Dzieliliśmy się na trzy grupy: starsi, średniacy i mali. Ci, którzy mieli po 16 - 17 lat / jeśli dobrze pamiętam/, zostali zabrani do wojska oraz do pracy do fabryk.

W ochronce przebywaliśmy ok. trzech lat - do powrotu do Polski. Wychowawczyniami były Polki i uczono nas też po polsku. Korzystaliśmy jednak z podręczników rosyjskich. Nasze nauczycielki tłumaczyły teksty na język polski. Tam uczyłem się do piątej klasy. Z nauczycieli pamiętam nazwisko: pani Dymańska - pochodziła z Warszawy. Kierowniczką ochronki była pani Godlewska i pochodziła z powiatu augustowskiego z miejscowości Darłówek czy coś takiego. Nie wiem, skąd pochodziły pozostałe panie.

Wreszcie nadszedł sygnał, że będziemy wracać do Polski. To było jakoś na wiosnę. Do Polski wróciliśmy w maju. Wracaliśmy w wagonach towarowych, podobnie jak w tamtą stronę. Do Polski wjechaliśmy jakoś na Wielkanoc, gdyż pamiętam, że pytałem panią wychowawczynię, dokąd ludzie tak wcześnie idą. Usłyszałem w odpowiedzi, że są święta wielkanocne. Byliśmy w Kutnie, a ludzie akurat szli do kościoła.

Wiozły nas z ochronki dwie osoby, pochodzące z tak zwanej Linni Curzona. Były to osoby podające się za Białorusinów, które musiały tam pozostać. Z ochronki wieziono nas - to dokładnie pamiętam - przez rzekę Abakan. Na łodzie już była woda, koła zanurzały się do połowy i nas ogarniał strach. Tam mostów nie sposób budować, bo tamtejsze rzeki są bardzo duże i w czasie wiosennych roztopów wyjątkowo kapryśne. Gdy wiosną lody ruszają, to strzela tak jak z armaty. Tam te sprawy przebiegają bardzo szybko: trzy dni i już jest wiosna. Ale

my zdążyliśmy przejechać przed ruszeniem lodów.

Ochronką zajęła chyba trzy wagony, gdyż ja wracałem z ochronką, ponieważ nie miałem rodziny: mamusia zmarła, a ja wracałem z siostrami. Ja byłem w grupie chłopaków i dlatego wracaliśmy w dwóch różnych wagonach.

Cały wyjazd odbywał się pod kierownictwem pani Godlewskiej, kierowniczką. W czasie powrotu z jedzeniem było całkiem źle. Prawie nas nie karmiono. Często było to wynikiem bałaganu: na jakiejś stacji mieliśmy np. otrzymać posiłek, ale pociąg ruszył wcześniej niż zakładano i znowu byliśmy głodni. W takich wypadkach często zdołaliśmy tylko chwycić w pośpiechu "kipiątku" i to nam musiało wystarczyć. W podróży panie wychowawczynie gotowały nam mannę i zlewały do specjalnego zbiornika, żeby wszystkim starczyło po porcji. Jednym słowem wracaliśmy głodni.

Gdyby tak podsumować i określić nasze największe cierpienia, to trzeba powiedzieć, że były to: głód, tęsknota za ojczyzną i oczywiście insekty.

Wracam jeszcze do naszego pobytu na Syberii: śmiertelność była ogromna. Zapamiętałem, że to było jak w fabryce: dzień i noc ludzie umierali. Na ogół ludzie byli wychudzeni: skóra i kości albo puchli z głodu. / Śmierć zbierała obfite żniwo. Umierali ci ludzie, którzy z racji swojego przedwojennego trybu życia byli mniej odporni. Najczęściej dotyczyło to ludzi bogatych, lekarzy, artystów, policjanci, posiadacze ziemscy, którzy mieli służbę. Tym ludziom nienawykłym do trudnych warunków życiowym nagle przyszło zmagać się z takimi trudnościami i w dodatku w straszliwym głodzie. Ci ludzie byli najbardziej podatni na choroby i najczęściej przechodzili



na drugą stronę linii.

Wracam do relacji z naszego powrotu. Wieziono nas bardzo długim składem pociągowym. Jechaliśmy przez miesiąc. Nas jako ochronkę przywieziono do Kutna, a z Kutna do Gostynina. Tu był szpital dla umysłowo chorych. Tu skierowano nas na odwszenie i dezynfekcję ubrań. Zabrano nam nasze ubrania, ostrzyżono. Ubrania nasze były parowane.

W Gostyninie przebywaliśmy - dokładnie nie pamiętam - chyba przez kilka tygodni. Jeżeli ktoś miał rodzinę lub jakichś krewnych, bliskich, którzy się zgłosili, to oczywiście umożliwiano im powrót do krewnych. W naszej sytuacji było to o tyle skomplikowane, że nasz ojciec należał na tym terenie do AK i z tego względu nie mógł po nas przyjechać. W tym stanie rzeczy sami przyjechaliśmy do Warszawy. Tu wyjechał po nas ojca brat, nasz stryj Anastazy. Wcześniej umówiliśmy się listownie, jak będziemy wyglądali. Na tej podstawie stryj odszukał i rozpoznał nas na stacji. Jak pamiętam, w tym czasie Warszawa przedstawiała jedno wielkie rumowisko. Ulice były zagruzowane, komunikacji nie było, jeździły jedynie trójkołowe samochody. Przedostaliśmy się jednak jakoś na dworzec, chyba wileński. Z Dworca Wileńskiego stryj przywiózł nas do siebie, czyli do Dobrzyńowa, a stamtąd dostaliśmy się do Zaczysza. Tu mieszkał nasz tatuś.

Tak z grubsza wyglądał nasz pobyt w Rosji. Na dobrą sprawę nie ma co tu wspominać, bo same wspomnienia człowieka teraz przerażają, nie mówiąc o pobycie.

Jeśli chodzi o sprawy religijne na Syberii, to w zasadzie coś takiego w sensie instytucjonalnym nie istniało, bo Stalin zdążył już to zlikwidować. W rejonie naszego pobytu mieszka-

li głównie Rosjanie, Polacy i inne jeszcze narodowości, ci, którzy tam zostali wywiezieni. Ostatnio z prasy dowiedziałem się, że w Irkucku jest kościół katolicki. W tych miejscowościach, w których mieszkaliśmy, nie było kościołów, gdzieś niedzie pozostały jeszcze fragmenty budynków cerkiewnych. Ludzie nie wyznawali żadnej wiary. Może jedynie ludzie starszy: jeśli coś na ten temat myśleli, to po cichu, w domu. Natomiast my Polacy nie mieliśmy warunków do spełniania obowiązków religijnych.

Podczas naszego pobytu w ochronce pani kierowniczka zorganizowała w prywatnym budynku coś jakby kaplicę. Co niedzielę chodziliśmy tam na mszę. A nic innego nie było poza tą inicjatywą pani Godlewskiej. Cerkwie były poniszczone. Przypominam sobie w tę chwilę, gdy byliśmy w ochronce, że przy jakiejś osadzie pozostały fragmenty jakiejś cerkwi.

Ludzie miejscowi byli bardzo sympatyczni. Pomimo, że nie mogli chodzić do cerkwi, to niejednokrotnie byli lepsi od Polaków. Bywało bowiem tak, że jeśli Polak miał już kilka ziemniaków więcej, to już zaczynał stawać się chtry i często nie podzielił się. Natomiast miejscowi mieli swój styl życia wynikający z konkretnej, trudnej sytuacji: żyli z dnia na dzień. Ich metoda życia była taka: aby dzisiaj. Dziś przeżyłem, to i chwalić Boga. Dzisiaj przeżyłem, to dobrze. Co jutro będzie? Zobaczymy. Z tego wynikał prosty wniosek: jeśli dziś ma się czym podzieli, to się podzieli, nie zostawia na jutro; jutro będziemy żyć od nowa. Z tego powodu miejscowi Rosjanie i nie tylko Rosjanie byli bardzo sympatyczni. Tam byli też i Niemcy z republiki Nadwołżańskiej, byli Litwini, Łotysze, Ukraińcy, Białorusini, Tatarzy i wiele innych narodowości. Było też sporo

rodzin "skośnookich", których nazywaliśmy "mongolcy". Bo tam nie tak daleko była Mongolia.

Z okresu pobytu w ochronce przypominam sobie, lato tamtejsze jest krótkie. Rosjanie mówią, że u nich "przez dziewięć miesięcy jest zima, a reszta to lato i lato, aż zbrzydnie". Ale lato, choć krótkie, jest bardzo intensywne. W południe to nawet ptaki nie latają, gdyż z powodu wysokiej temperatury omdlewają. Przebywaliśmy na zboczach gór Tień-szańskich od strony południowej i dlatego tak bardzo było gorąco. Ale to ciepło było bardzo krótko.

Natomiast tamtejsza zima trwa dziewięć miesięcy i jest wyjątkowo śnieżna i bardzo mroźna. Temperatura dochodziła do minus 40-to do 45 stopni. Mówiąc trywialnie: gdy się splunęło, to na ziemię spadała grudka lodu. Po tym można sobie wyobrazić, jaki to musiał być mróz.

Tam, gdzie byliśmy wywiezieni, w ogóle nie odczuwano się skutków wojny. Tam, gdzie myśmy byli, był jedynie Pan Bóg i przyroda. Nie dochodziły odgłosy z frontu, nie było nawet przeletu samolotów. Jeśli sporadycznie przelatował jakiś samolot, to wszyscy wychodzili i spoglądali z zaciekawieniem i z nadzieją, że może wiezie jakąś wiadomość, że może będziemy wracać do Polski. Ale to zdarzało się bardzo rzadko. W tajdze była tylko przyroda, niebo i więcej nic. Wiedzieliśmy oczywiście, że wojna trwa, ale tam nie było widać żadnych skutków wojny. Jedynym znakiem toczącej się wojny było to, że wszyscy mężczyźni zdolni do służby wojskowej odeszli. Zostały tylko kobiety i dzieci. No i oczywiście wszystko trzeba było oddać na front. Zabierano wszystko z kółchozów i sowchozów, stąd głód był niesamowity, wszystko bowiem szło na wyżywienie wojska.

Zaplecze samo jakoś musiało sobie radzić.

Szczególnie dokuczliwy był głód, którego nie da się niczym oszukać. Człowiek, gdy nawet obudzi się w nocy, to ma pierwszą myśl, żeby coś zjeść. Gdy nie ma nic do jedzenia, to chociaż wody trzeba się napić, aby móc iść dalej spać. Z tego powodu głód jest najbardziej dokuczliwy.

Nasz pobyt na Syberii nadzorowało NKWD. Byli wyznaczeni naczelnicy, którzy nas pilnowali i w obozach i później. Z nich pamiętam, że był naczelnik Soroczkin. Było to podczas naszego pobytu w Złotej Gorce. Wówczas pojawiły się jakieś mgliste pogłoski, jakoby miano nas skierować do Polski. Pamiętam jak dziś, jak on nam w związku z tymi pogłoskami tłumaczył, że prędzej jemu na dłoni kaktus wyrośnie, niż to, że będzie Polska i że my do Polski wrócimy.

Wracając do osób, które były wywiezione z Zacisza - było to 10-go lutego 1940-go roku, to należy wymienić:

1. Antoni Cieśluk - ur. w 1897 r., wywieziony z żoną Apolonią, córką Teresą i synem Ryszardem. Przebywali razem z nami, mniej więcej w tych samych miejscach w obozach. Wszyscy wrócili.

2. Józef Dąbrowski - wywieziony z żoną Elżbietą, która nie wróciła: zmarła w Krasnojarsku na tyfus. Mieli ze sobą syna Stanisława i córkę Leonardę. Syn i córka wrócili.

3. Nikodem Grzegorzczak - z żoną Genowefą. Ponadto wywiezieni byli: córka Irena, syn Witold i

syn Stanisław. Wrócili wszyscy. Pan Grzegorzyc walczył w Dywizji Kościuszkowskiej. W podobnej sytuacji był wspomniany wcześniej Dobrowski. Natomiast pan Cieśluk nie wstąpił do wojska, był częściowo niesprawny, utykał na nogę.

4. Hancewicz Jakub - również z żoną, Leokadią oraz z dziećmi: Żenobią, Moniką i Tadeuszem. Wrócili wszyscy z tym, że pan Hancewicz wracał z wojskiem.

5. Jan Hancewicz - z żoną Feliksą i dziećmi: Hipolita, Zdzisławem, Mieczysławem i Anną. Wrócili wszyscy.

6. Lewanowski Aleksander - z żoną i córką. Wrócili, ale nie do Zacisza, gdyż on został w wojsku jako oficer zawodowy. Mieszka prawdopodobnie we Wrocławiu.

7. Dominik Łoś - mój stryj. Wywieziony z żoną Emilią i z dziećmi: Waldemarem, Stefanem, Wiesławem i Zbigniewem. Razem z nimi wywieziono babcię, która zmarła w Kazachstanie. Nazywała się Rozalia Fopko. Tu trzeba zaznaczyć, że Dominik został aresztowany przez NKWD natychmiast po wkroczeniu Rosjan, jeszcze w 1939 roku. Różnie mówiono o jego późniejszych losach. Twierdzono

na przykład, że został rozstrzelany natychmiast po aresztowaniu. Były na odmianę głosu, że go widziano na Syberii. Rodzina poszukiwała go przez Czerwony Krzyż i wszelkimi innymi dostępnymi środkami - wszelki ślad po nim urywał się. Prawdopodobnie został rozstrzelany wkrótce po aresztowaniu. Rosjanie szybko aresztowali go już na początku okupacji dlatego, że był posłem na sejm.

8. Jan Markowski - z żoną Jadwigą i córką Cecylią. wrócili.

9. Aleksander Puchalski - żona Kazimiera, dzieci: Czesław, Kazi Henryk i Pelagia wrócili wszyscy z tym że Czesław i Henryk wrócili z wojskiem. Były też jeszcze wywiezione dzieci: Wanda, Zenon i Krystyna. Krystyna urodziła się na Syberii, w Toporku.

10. Zygmunt Szczepański - nasz kuzyn, to właśnie u nich, u ciotki Eugenii mieszkaliśmy. Walczył, jako porucznik od Sielęc do Berlina. Wywieziony był z żoną Eugenią oraz dziećmi: Haliną, Eugeniuszem, Jackiem i Hipolitem. Hipolit - najmłodszy - zmarł w Toporku.

11. Albin Sokólski - z żoną Antoniną i dziećmi Olimpią i Jerzym. Następne dziecko - Celina - urodziła się już na Syberii - w okolicach Irkucka

12. Wincenty Szólkowski - jego siostra Anna zmarła w Kwit-

ku

ku. Maria, Jadwiga i Stanisław i Wmcenty wrócili do Polski oprócz Stanisława, który zmarł na Kwitku.

13. Jan Trypuć - żona Adela i dzieci: Aldona i Maciej. Aldona zginęła na froncie.

14. Alojzy Walendziuk - Zginął pod Lenino. Wywiezione były dzieci: Honorata, Anastazja, Lucja oraz syn Józef.

15. Alfons Zdanowicz - wrócił do kraju z wojskiem.

O sobie już mówiłem: Aleksander Łoś - ojciec - nie był wywieziony przypadkiem, bo po prostu nie było go w domu, gdy nas wywożono. Wywieziono nas trójkę: mamusia, ja, siostra Eugenia i siostra Irena.

Po powrocie do Zacisza i po ukończeniu sześciu klas szkoły podstawowej w ochronce, musiałem pójść do klasy siódmej. Ale siódmej klasy nie było w tej szkole, do której uczęszczałem przed wojną, to znaczy w Kamionce. Tam była tylko szkoła chyba tylko pięcioletnia. Z tego powodu musiałem wyjechać do wujka do Nowoaleksandrowa /wujek mieszkał w pobliżu - w Podleńcach miejscowości leżącej przy drodze wiodącej do Elku. Tam chodziłem do szkoły przez dwa lata / stąd wniosek, że w ochronce ukończyłem nie sześć lecz pięć klas/. A więc klasy szóstą i siódmą ukończyłem w Nowoaleksandrowie.

Po ukończeniu szkoły podstawowej - wówczas szkoła podstawowa była siedmioletnia - ze względu na trudne warunki rodzinne, ojciec nie mógł pozwolić nam uczyć się dalej - bo trzeba było pomagać w gospodarstwie. Jednak w październiku, gdy już minął miesiąc roku szkolnego - zdecydował, że mogłbym pójść

do jakiejś szkoły. Ponieważ było już za późno, aby dokonywać jakiegoś wyboru, wykorzystaliśmy znajomość z kierownikiem szkoły zawodowej, panem Komarem. Była to Publiczna Szkoła Zawodowa nr. 1 w Białymstoku, która mieściła się przy ulicy Dąbrowskiego. Tam się właśnie znalazłem. Nauka w tej szkole trwała trzy lata.

Szkołę tę ukończyłem i uczęszczałem do technikum. Kiedy byłem już w czwartej klasie, zostałem powołany do wojska. Było to technikum mechaniczne, również przy ul. Dąbrowskiego. Ta szkoła została później przeniesiona na ulicę Broniewskiego. O odroczeniu nie było wówczas mowy: przychodził czas pójścia do wojska i trzeba było iść.

Służbę odbywałem w batalionie łączności w Giżycku. Po odbyciu służby wojskowej, z różnych przyczyn, zamieszkałem w Białymstoku. Musiałem pójść do pracy i tym samym technikum nie skończyłem. W tym czasie naukę w technikum przedłużono o jeden rok, czyniąc szkołę pięcioletnią.

W roku 1961 ożeniłem się i za namową żony rozpocząłem naukę w technikum dla pracujących, które wówczas mieściło się przy ulicy Broniewskiego. Tę szkołę skończyłem.

Pracowałem w jednej instytucji: Zakładzie Energetycznym Białystok: od dnia 1-go października 1951 roku. Różne były losy tej instytucji. Początkowo była to elektrownia, był zakład sieci elektrycznych. Następnie połączono to w jedną całość i to nosiło nazwę "Zakład Energetyczny Białystok".

Przez czterdzieści lat pracowałem w jednej firmie. Odszedłem na emeryturę po przepracowaniu tych czterdziestu lat. Rozpoczywałem jako ślusarz kotłowy, następnie monter maszynowy, następnie pracowałem w laboratorium. Po ukończeniu techni-



kum zostałem kierownikiem robót sieci ciepłej. Tu chcę powiedzieć, że sieć ciepła i sieć ciepła w Białymstoku rozpoczęły się od starej elektrociepłowni, po której obecnie pozostał tylko budynek. Sama elektrociepłownia została zdemontowana.

Następnie byłem kierownikiem sieci ciepłej do 1972-go roku. Następnie ponownie byłem kierownikiem robót sieci ciepłej. Po przekazaniu sieci ciepłej do "Wupecu" / tak było w całej Polsce - powszechna reorganizacja elektrociepłownictwa/, uznano bowiem, że wytwarzanie należy do energetyki, a dystrybucja i sprzedaż do gospodarki komunalnej czyli do "Wupecu". Na podstawie decyzji naszych władz zwierzchnich w 1975 r. sieć ciepła została przekazana "Wupecowi", natomiast my, pracownicy sieci ciepłej przeszliśmy do pracy do elektrociepłowni 2. Tam pracowałem prawie na wszystkich stanowiskach: byłem kierownikiem robót w kotłowni, kierownikiem warsztatów mechanicznych.

Następnie, z elektrociepłowni 2 - jeszcze na wniosek dyrekcji przeszedłem do elektrociepłowni nr 1 przy ulicy Mickiewicza 15 i tu byłem przez 6 lat kierownikiem elektrociepłowni, prawie do jej złomowania. Kiedy zaczęto ją demontować, kiedy już przestała istnieć fizycznie, przez półtora roku pracowałem jeszcze w elektrociepłowni 1 w dziale inwestycji w nadzorze mechanicznym, gdyż w tym czasie budowano trzeci blok energetyczny i tam byłem inspektorem nadzoru. Z tego stanowiska pracy odszedłem na emeryturę.

Z tego powodu, że byłem wywieziony do Rosji miałem trochę kłopotów zarówno w pracy jak i w wojsku. W wojsku na przykład byłem bardzo zdziwiony, gdyż dowódca jednostki - major Soko-

łowski wnosił pretensje o to, dlaczego w czasie wojny przebywałem w Związku Radzieckim i za co byłem wywieziony. Odpowiedziałem, że w tym wieku polityką raczej nie bawiłem się, ale zostałem wywieziony. Z tego powodu byłem człowiekiem niepewnym.

W pracy - pomimo tego, że specjalnie nie rozgłaszałem o swoim pobycie na Syberii - patrzono na mnie tak jakos inaczej. Czas nie sprzyjał opowiadaniu o tych sprawach. Dopiero ostatnio można o tym mówić. Dotychczas rozpatrywano jedynie przypadki prześladowań przez Niemców, bo to byli nasi nieprzyjaciele. O zbrodniach zadanych przez drugą stronę nie można było mówić, bo to byli nasi przyjaciele.

Ale przyszła wreszcie taka chwila, w której można już o tym mówić i dlatego mówię na ten temat. Złożyłem już papiery w celu uzyskania uprawnień kombatanckich. Ale to jakoś idzie jak pod górkę. Wszystko to jakoś odbywa się społecznie - pół roku już minęło, a jakoś nie mogę uzyskać legitymacji. Są tam jakieś drobne przywileje i nie można z nich korzystać z braku legitymacji. Gdy trzeba było zmniejszyć emeryturę - zrobiono to nadzwyczaj sprawnie. Gdy jednak przychodzi o uzyskanie uprawnień - sprawa okazuje się bardzo trudna.

Notował: S. Sianko.